Nr. 47. Rok II.

TYGODNIK WIELKOPOLSKI.

Przedpłata ćwierćroczna wynosi 1 tal. czyli 1 złr. 50 cent. w. a.

Czasopismo naukowe, literackie i artystyczne

wychodzi w Poznaniu co Sobotę.

Ogłoszenia po 1½ sgr od drobnego wiersza.

Prenumerować można na wszystkich urzędach pocztowych i w księgarniach.

Poznań dnia 23 listopada 1872.

Ul. Fryderykowska Nr. 27.

O metodzie w nauce ekonomji politycznéj

napisał

Dr. Józef Descours de Tournoy.

Myśl ludzka obudziwszy się w Grecji i Włoszech, wtedy wielkiéj Grecji, naprzód się zwróciła do świata zewnętrznego i nim się wyłącznie zajęła. Zadanie czém jest świat, daleko wcześniéj się przedstawiło umysłowi ludzkiemu, aniżeli zadanie czém jest człowiek.

Po odrodzeniu się filozofji widzimy ten sam proces, ale zadania się przedstawiają w inny sposób umysłowi ludzkiemu, gdyż chociaż w średnich wiekach stracono wszelką nić tradycji cywilizacji, nie stracono ostatniego rezultatu filozofji greckiéj, monoteizmu, który żeby ocalić, inną przybrał formę.

Monoteizm filozoficzny grecki nie zupełnie swobodny od przymieszek panteistycznych, spotkał się w Aleksandrji z monoteizmem teokracji hebrajskiéj i chociaż się daje jeszcze spostrzegać w pismach św. Jana, św. Pawła a nawet późniejszych, musiał ustąpić pierwszeństwa judaizmowi w formowaniu się dogmatów pierwotnego kościoła. Tym sposobem scholastyka średniowieczna nie mogła już tworzyć mitycznych przypuszczeń kosmogonicznych, ani poetycznéj syntezy różnolitéj formy istnienia, gdyż ta praca syntetyczna została dokonaną, lecz ponieważ świat średniowieczny znał rezultat téj syntezy nie jako utwór swobodnéj myśli, nie jako pojęcie filozoficzne, ale jako dogmat kościelny, nie jako ideję bóstwa, ale jako Jehowę, a jego praca umysłowa musiała być analityczną, zanalizowała tego Boga pozytywnego, tego Jehowę, Boga historycznego narodu izraelskiego.

Umysł ludzki miał z jednéj strony świat ciemny i głuchy, z drugiéj zaś Boga, równie pozytywnego i zewnętrznego jak świat, i zdawało mu się, że mu powinno przedewszystkiém zależeć na poznaniu tego Boga i tym sposobem powstała teologja katolicka. Ten dualizm, który dzielił istnienie na świat natury i świat łaski, świat przyrodzony i nadprzyrodzony, materję i ducha, miał znaczenie nietylko dla moralnego wychowania ludzkości, ale także i dla postępu naukowego.

Podczas kiedy dla starożytnych świat był jedną boską jednością i poszukiwania nad nim musiały zachować żywioły wspólne z mitami i tak jak wszystko było cząstką boskiéj jedności, tak każda nauka była cząstką ogólnéj wiedzy, filozofji. Za odrodzeniem się nauk nie widzimy nic podobnego, a że boskość była zupełnie oddzieloną od świata i dostatecznie zbadaną przez wieki średnie, dla późniejszych pozostał tylko świat głuchy i ciemny.

Dla tego to starożytni nie podnieśli się nigdy do pojęcia nauk specjalnych i filozofja obejmowała w sobie wszystkie zajęcia naukowe, podczas kiedy dla nowoczesnych, każdy krok postępu umysłowego znaczył się w historji wiedzy urodzeniem się nowéj nauki. Co do procesu myśli, który przewodniczył temu powstawaniu nowych nauk, ten się nie zmienił, i naprzód zastanawiano się nad światem zewnętrznym. Tak powstały astronomja, fizyka, nauki przyrodzone, a następnie dopiéro nauki mające za przedmiot samego człowieka. Jedną z ostatnich była ekonomja polityczna. Zasługa ułożenia wiadomości ekonomicznych w systemat i podniesienia jéj tym sposobem do godności nauki, należy się, jak wiadomo, filozofowi szkockiemu z przeszłego wieku, Adamowi Smith.

Mówiąc to, nie chcemy wcale zaprzeczać pierwszeństwa Włochom w naukach politycznych, gdyż pierwszeństwo to przyznają im sami rodacy Smitha, jak lord Brougham w pracy krytycznéj nad tym pisarzem.

Zjawiska ekonomiczne mają tyle znaczenia praktycznego dla społeczeństwa, że musiały być wcześnie przedmiotem badań, przynajmniéj z punktu bezpośre-

dniego zastosowania, w kraju, który doszedł do tak rozwiniętego życia publicznego jak Włochy średniowieczne. Dla tego przyjmując klasyfikację Minghettego*), musimy powiedzieć, że Włochy są ojczyzną ekonomji politycznéj uważanéj jako sztuka, Anglja zaś jest jéj ojczyzną jako nauki.

Pierwsza połowa trzynastego wieku, Fryderyk II Hohenstaufen i jego wielki minister Piotr della Vigna, tak jak stanowią pod każdym względem pierwsze odrodzenie Włoch, tak też są pamiętni i pod względem obudzenia życia ekonomicznego. Oni to naprzykład wprowadzili zwyczaj stemplowania złota i srebra dla oznaczania urzędowego co do gatunku i wartości.

Pomimo rzetelnych zasług wielkiego króla sycylijskiego i jego ministra, nie mogli oni wynieść się po nad czasy w których żyli, a co więcéj, pierwsze ich zadanie jako praktycznych mężów stanu było zrozumienie swéj epoki i zastosowanie do niéj swojéj polityki.

Z jednéj strony przejście z gospodarstwa naturalnego do gospodarstwa monetowego**) dawało poznać korzyści tego ostatniego, ale korzyści produkowania dla zamiany przypisywały się posiadaniu drogich kruszców. Klasa rządząca znalazła przytém środki kształcenia się po za życiem narodowém. (Fryderyk i dwór jego stosunkami ze wschodem i za pośrednictwem wschodu, literaturą i starożytnościami klasycznemi, i to stworzyć musiało znaczną różnicę w stopniu oświaty różnych klas społeczeństwa). Monarcha widząc się o wiele wyższym od ludu, chciał go i gwałtem oświecać i nawet mimo jego woli opiekować się jego dobrze zrozumianemi interesami.

Stan taki społeczny, gdziekolwiekbądź się pokaże, wydawać musi wyobrażenia przesadzone o potrzebie opieki, które tylko przy tym stanie mogą być bardzo użyteczne.

Jest faktem historycznym, że uprawa jedwabiu została wprowadzoną z góry, czasem gwałtem, we wszystkich krajach, nawet w tych, które dzisiaj najwięcéj jedwabiu produkują. We Francji Henrykowi IV, który ma pod tym względem wielkie zasługi, sprzeciwiał się co do zaprowadzenia jedwabnictwa nietylko już sam lud ciemny, ale nawet jego własny rozumny i zacny minister Sully.

Tak jak wschód był dla Fryderyka II źródłem oświaty, nieprzystępném dla ogółu, a krucjata środkiem jéj poznania, tak samo dla Europy północnéj były Włochy pod koniec XV wieku za czasów wojen naprzód francuzko-hiszpańskich a następnie francuzko-austrjackich, które tak długo ten kraj pustoszyły.

Widząc bogate miasta włoskie z ich rozwiniętem gospodarstwem monetarném, z kredytem, który już się zaczynał rozwijać, tak Francuzi jak Niemcy nie mogli się wstrzymać od porównania bogactw Genuy, Medjolanu, Wenecji, Florencji z własną nędzą, a różnicę przypisywali naturalnie posiadaniu kosztownych kruszców. Pobyt przytém uczonych i artystów włoskich za granicą i młodzieży znakomitszych familji we Włoszech, otwierały wyższym sferom społecznym Francji, Anglji, Niemiec i Polski źródła oświaty, które były dla ludu zamknięte i powtórzył się znowu wielki przedział w wykształceniu rządzących i rządzonych, a z nim znowu te same przesadne wyobrażenia o znaczeniu drogich kruszców i o potrzebie opiekowania się interesami ludności. Ztąd powstała polityka ekonomiczna, zwana nie wiadomo dla czego Colbertynizmem, gdyż Colbert nie był ani najpierwszym, ani najzdolniejszym, ani najgorszym ministrem z tych, którzy się nią rządzili.

Mocą tego samego prawa historycznego car Piotr Wielki i Katarzyna musieli mieć koniecznie te same wyobrażenia, chociaż ostatnia żyła już w czasach, kiedy się słyszeć dawały teorje laissez faire, laissez passer, a czytając dzieje Piotra Wielkiego i Fryderyka Hohenstaufena*), w którego postanowieniach tyle razy występują pomiędzy motywami imbecillitas aetatis, mimowoli robi się między nimi porównania, chociaż nie mogło być nic wspólnego pomiędzy zniewieściałym trubadorem sycylijskim i ukoronowanym cieślą z Saardam, jak tylko zasługi względem oświaty, spełnione drogami tak różnemi od tego rodzaju współczesnego liberalizmu, który rodzi niedołęztwo rządu pod pozorem wolności.

We Włoszech autonomja bogatych Rzeczypospolitych uczyniła zbyteczną wszelką opiekę z góry, a rozwinięcie kredytu zredukowało znaczenie pieniędzy, a przez to już w XVI wieku było wielu pisarzy rozbierających zadania ekonomiczne z bardzo zdrowym poglądem na rzeczy. Davanzati, ten sam kupiec i obywatel florencki, który tak klasycznie tłomaczył Tacyta, zaczyna poczet włoskich ekonomistów, ale z tamtych czasów najbardziéj nas musi zajmować tak ze względu na swe dzieła, jak na losy osobiste, Kalabryjczyk Antonio Sevra.

Jego dzieło pod tytułem: „Jakim sposobem państwa obfitować mogą w srebro i złoto“**) zostało napisane w więzieniu neapolitańskiém Vicaria i ztamtąd dedykowane wicekrólowi hrabiemu di Lemos.

Były to czasy, w których królestwo obojga Sycylji podległe wtedy Hiszpanji, było w stanie nader opłakanym. Prowincje wewnętrzne łupione przez bandytów, nadmorskie przez korsarzy, lud ciemiężony przez baronów, baronowie skutkiem przewrotnéj polityki ciągle między sobą swarzeni i z orężem w ręku chcący rozstrzygać swoje spory, i po nad tém wszystkiém znajdował się rząd albo słaby i niedołężny, albo przedajny i zepsuty, zależący zawsze od dworu dalekiego i niezaradnego nawet we własnych hiszpańskich posiadłościach.

Było rzeczą naturalną, że wśród takiego położenia lud był niezadowolony, szczególniéj zaś w Kalabrji, gdzie jest jeszcze żywszy i gwałtowniejszy jak w innych prowincjach. Korzystał z tego położenia słynny mnich Dominikanin Tomasz Campanella i postanowił wyswobodzić Kalabrję z niewoli hiszpańskiéj. Środkami jego były przepowiednie astrologiczne, proroctwa, armja mnichów kaznodziei i druga armja o wiele liczniejsza wygnańców, w każdéj chwili gotowych wziąść się do broni.

---

*) W dziele premiowaném przez akademję francuzką: „O stosunku moralności do ekonomji politycznéj.“

**) Nazywamy gospodarstwem naturalném stan ekonomiczny, w którym się produkuje albo na natychmiastowe spożycie, albo też dla zamiany, bardzo pierwotnéj jeszcze, uskutecznianéj w naturze; monetarném zaś, gdy się produkuje dla zamiany za pośrednictwém ogólnie przyjętego środka zamiany, którym wszakże nie jest jeszcze pośrednik daleko idealniejszy i potężniejszy — kredyt. Z jednéj strony wymiana chociaż jest ważném zjawiskiem życia ekonomicznego, nie jest wszakże jedyném, a przez to widzimy, że się mogą zachować niektóre stosunki gospodarstwa naturalnego przy bardzo wysokiéj nawet cywilizacji. Naprzykład system połowiczności (la mezzeria), który stanowi kamień węgielny bardzo dobrych stosunków społecznych środkowych Włoch, jest pozostałością naturalnego gospodarstwa o wiele korzystniejszą dla społeczeństwa, jak pańszczyzna lub służebności i dla tego się utrzymała, i spodziewać się należy, że nietylko się utrzyma, ale się jeszcze rozwinie. Feudalizm i nasze starostwa były także skutkami gospodarstwa naturalnego, zastósowanego do prawa publicznego i administracyjnego.

*) Francuz Huillard Brebolles zebrał wszystkie postanowienia Hohenstaufena i wydał pod tytułem: „Historia Diplomatica Frederici II Imperatoris“, tudzież wszystkie listy Piotra della Vigna.

**) W Economisti classici italiani ed. Pietro Custodi. Milano. 1803. Vol. I.

Powstanie miało wybuchnąć wtedy, gdy do brzegów kalabryjskich zbliżyłaby się flota turecka pod wodzą kalabryjskiego renegata baszy Sinau Cicala, przez zdradę jednakże dwóch spiskowych odkryto wszystko i zamiast powstania przygotowanego na wrzesień 1599, na sto lat przed Masaniellem i wolnością, miano niezliczoną liczbę uwięzień i prześladowań.

Ogromna liczba osób została na śmierć skazaną, a wiele innych na dożywotnie więzienie.

(Ciąg dalszy nastąpi).

OBRAZKI LITEWSKIE.

Ze wspomnień tułacza

Sobarri.

(Ciąg dalszy.)

Czytelnik zapewne już się domyślił, że ten, którego mistrzem nazywano — był Szymon Konarski. Trzech innych byli to jego koledzy więzienni. Ów oficer, do którego tak czule przemawiał Konarski, był to zacny kapitan wojsk rosyjskich Korowajew. Drugi oficer — kolega jego i podkomendny.

Na Litwie wówczas exystował korpus jenerała Giejsmara, mężnego wodza i zacnego człowieka. W korpusie tym, w kole oficerów od dawna już panował, jak mówią Moskale, wolnyj duch. Zawiązała się silna korporacja rewolucyjna, a Korowajew właśnie był jednym z przewódzców.

Korowajew i jego wspólnicy szli w ślady Murawiewa Apostoła, Rylejewa, Pestela i Bestużewa. Mieli na celu skruszyć pęta despotyzmu, ale ich zadanie było głębsze jeszcze, bo ratując siebie, myśleli i o braciach Sławianach, już wtedy przeczuwając, że tylko sojusz sławiański federacyjny zapewnić może swobodę ludom sławiańskim.

Łatwo pojąć, jakie uczucie owładnęło wielką duszą Korowajewa, kiedy jego samego użyto jako narzędzie do ciemiężenia braci, bo ze swoją rotą musiał utrzymywać po całym tygodniu straż u Bazyljanów. Wtedy to poznał się z Konarskim, umiał ocenić tego żelaznego człowieka, jak go nawet sam Trubecki nazywał. Ułatwiał mu stosunek z innymi więźniami; on też urządził i schadzki u panny Anny.

Schadzka, którąśmy wyżéj opisali, była nie pierwsza i nie ostatnia. Widzieliśmy, że i żołnierze zaufani do tego należeli. Poczciwi ci ludzie kochali nadzwyczaj swojego zwierzchnika i wszystko z narażeniem się wykonywali, czego tylko zażądał. Bez ich też udziału nie mógłby Korowajew urządzić podobnych schadzek.

Panna Anna też mądrze urządzać się umiała. Oprócz młodziutkiéj Naści nikt o niczém w domu nie wiedział. Umiała ona zawczasu wszystko przyrządzić, a kiedy goście powychodzili i służący do spoczynku się udali, ona sama w małéj, osobnéj kuchence przyrządzała jedzenie i była najszczęśliwsza, jeżeli co jéj król, jak nazywała Konarskiego, pochwalił.

Schadzki te oprócz politycznéj strony, bo dawały możność osobistego porozumienia się i ułożenia pewnych planów, ażeby zapobiedz wciąganiu do sprawy nowych ofiar, przynosiły jeszcze i moralną przyjemność, gdyż nieszczęśliwi oderwani od rodzin, mogli do nich swobodnie napisać słów kilka, a panna Anna chętnie i umiejętnie ułatwiała przesyłkę. Widzieliśmy, że za jéj pośrednictwem Konarski pisał do matki i do narzeczonéj swojéj panny Emilji.

Konarski miał słuszność przeczuwając, że schadzki te ściągną biedę na głowę poczciwéj Holsnerówny.

Miał też słuszność i Korowajew, pragnąc uwolnić z więzienia Konarskiego i ułatwić mu ucieczkę. Mówimy miał słuszność, bo i tak zginął.

Pewnego dnia Korowajew wszedł do celi jednego z więźniów i oddał mu kartkę od Konarskiego. Ten, zaledwo przeczytał, zgniótł tę kartkę w dłoni i z pewném naigrawaniem się powiedział do Korowajewa: „Dziękuję Panu! dałeś mi Pan broń, za pomocą któréj dowiodę, żem niewinien.“

Korowajew był oszołomiony. Sądził zrazu, że więzień mu nie ufa, że nie rozumie, o co tu chodzi, starał się więc mu wytłumaczyć, wreszcie odezwał się do uczucia honoru i sumienia. Nic nie pomogło! Nikczemny ten człowiek śmiał się i cieszył się. Korowajew doprowadzony do ostateczności rzucił się na niego, usiłując mu wydrzeć kartkę, lecz wtém dał się słyszeć krok szyldwachu — dał więc pokój. Wyszedł z rezygnacją, a ów podły człowiek pospieszył z oświadczeniem, ażeby go wezwano do sądowéj, gdzie też wkrótce i złożył ów dowód, potępiający Konarskiego i Korowajewa.

Ulżono mu karę.

Korowajewa zaraz porwano. Ale o tém na swojém miejscu.

VII.

W grudniu 1838 r. przyjechał do Wilna jenerał Połozow, jako prezes sądu wojennego nad winowajcami. Nie był to zły człowiek, ale nie dość bystry i przenikliwy, ażeby mógł wykryć wszystkie bezprawia i nadużycia komisji śledczéj. Chwalą Połozowa jako człowieka łagodnego i sprawiedliwzgo. Łagodnym mógł się wydawać każdy w owym czasie, po tych okrucieństwach i tyranji, jakich używał Trubecki. Może chciał być sprawiedliwym, ale nim nie był de facto, skoro nie przyczynił się przynajmniéj do ukarania takich zbrodniarzy, jak Trubecki, Juferów, Anisimów, Arendarenko, Pokrowski i Siemienieńko, którzy wszyscy otrzymali nagrody. Wszakże dzięki mu i za to, że uwolnił kilku przynajmniéj z więzienia, a niektórym karę zwolnił.

Więźniów podzielono na trzy klasy. Do pierwszéj należeli skazani na śmierć, do drugiéj sądzeni do katorgi t. j. do kopalni podziemnych na całe życie lub zakreśloną liczbę lat, do trzeciéj skazani na osiedlenie w Syberji lub odległych gubernjach, jak również sądzeni w sołdaty do orenburgskiego i kaukazkiego korpusów.

Szymon Konarski należał do pierwszéj kategorji.

Dnia 14 lutego 1839 (według nowego kalendarza 27 lutego) przeczytano (w sądowéj komisji śledczéj) Konarskiemu wyrok skazujący go na śmierć przez rozstrzelanie*). Wyrok miał być wykonany nazajutrz rano.

*) Dosłowne brzmienie tego wyroku, ogłoszonego w miejscowych Wiadomościach gubernjalnych, w języku rosyjskim, jest następujące:

„Emisarjusz propagandy rewolucyjnéj, Szymon Konarski, rodem z Królestwa Polskiego, z gub. Augustowskiéj, stanu szlacheckiego, wieku lat 31, wszedł do służby wojskowéj w r. 1825,

Miał więc cały dzień czasu do myślenia, rozpamiętywania.

Kochał ojczyznę — zapewne więc najwięcéj o niéj myślał w tym dniu ostatnim, a jéj przyszłe losy musiały mu przesuwać się przed oczyma w najświetniejszych barwach, bo to pewne, że ani na chwilę nie zwątpił o wyswobodzeniu Polski. Kochał matkę i narzeczoną swoją, nie mógł więc nie boleć rozstając się z niemi — wszakże rozpacz, upadek ducha ani na chwilę nie zakradły się do téj wielkiéj duszy. Świadczyli o tém ci, którzy go kilkakroć widzieli w dniu tym ostatnim. Grał smętnie na ulubionym swym flecie. Dozorca opowiada, że jadł w tym dniu z apetytem. Wieczorem dużo pisał. Co pisał? — Z pewnością powiedzieć nie możemy. Krążył po mieście wiersz przez niego w ostatnich chwilach napisany. Czy rzeczywiście przez niego napisany i czy w ostatnich chwilach, zaręczyć nie możemy. Wszakże treść wiersza dobrze maluje usposobienie Konarskiego i jego niezłomny hart duszy. Napisał list do matki i narzeczonéj. Około północy wszedł dozórca więzienny Sołowjew, oświadczając w imieniu księcia Dołhorukiego, że może złożyć żądania, wyłącznie jego tylko osoby dotyczące.

Napisał więc zaraz:

1) Ażeby mu pozwolono pożegnać wspólników więziennych;
2) Ażeby narzeczoną jego, Emilję, zgoła nie należącą do spisku a uwięzioną z jego powodu, wypuszczono na wolność;
3) Aby pozostałe po nim rzeczy, rodzinie oddano.

Dołhoruki dał rozkaz spełnić to wszystko. Wszakże rzeczy skradł dozórca.

Zasnął nareszcie najspokojniéj. Ci co go odwiedzali i w nocy i rano z obowiązku, wydziwić się nie mogli, jak może człowiek spać tak smacznie na kilka godzin przed śmiercią.

Dnia 15 lutego o godzinie 5 rano już tłumy ludu zalegały ulice. Po rogach ulic poprzylepiane były drukowane ogłoszenia, że „dnia tego, o godzinie 8 z rana, będzie karany śmiercią za zbrodnię stanu emisarjusz Szymon Konarski.“

Inaczej się jednak stało. Od godziny 7 komendant miasta, plac-major i inni wojskowi, oraz wojsko, które miało eskortować na miejsce kaźni, już byli u Bazyljanów — ale Konarski spał jeszcze. Plac-major, zacny pułkownik Bohdanowicz, kilka razy wchodził do celi, ale nieśmiał go obudzić. Ocknął się zaledwo około 8. Pierwsza osoba, którą powitał, była matka, z którą widział się i dniem przedtém. Dołhoruki zrazu kazał jéj wyjechać z Wilna przed wykonaniem wyroku; Konarski sądził, że już wyjechała, dla tego i list do niéj napisał, o którym wspomnieliśmy wyżéj. Ale Konarska tak mężnie stanęła w obec Dołhorukiego, dała mu dowody tak wielkiego heroizmu, że ten musiał zezwolić, ażeby raz jeszcze widziała się z synem i dopiéro po południu opuściła Wilno. Ze swéj zaś strony dała mu słowo honoru, że nie będzie obecną na placu tracenia — ale ten czas przepędzi w katedrze na modłach.

W gronie osób, które oczekiwały na przebudzenie się Szymona — była i matka*). Komendant Kwietnicki przemawiał do niéj ze współczuciem; podziękowała mu, dodając wszakże: „mam jeszcze jednego syna, jenerale, a najszczęśliwszą będę, jeżeli i on tak samo zginie w sprawie ojczystéj.

Wielka była radość Konarskiego, kiedy raz jeszcze ujrzał matkę. Pobłogosławiła go, uścisnęła, ani jednéj łzy nie wylała i udała się wprost do kościoła katedralnego, gdzie już były zamówione msze św. na intencję Szymona. Tu dopiéro potoki łez ulżyły na chwilę strasznéj boleści. Zaraz po 12 opuściła Wilno**).

---

szeregowym do 1go pułku strzelców b. wojsk polskich; w r. 1827 podniesiony na stopień podoficera; w czasie powstania komisja buntownicza mianowała go podporucznikiem i porucznikiem; znajdował się w bitwach przeciwko wojsk rosyjskich i pod koniec 1831 r. w randze kapitana z buntowniczym oddziałem Chłapowskiego uciekł za granicę. Na początku 1834 roku znajdując się w Szwajcarji, był w zgrai burzycieli, którzy napadli na Sabaudję, a w końcu tegoż roku znajdował się w Paryżu; uczestniczył w wydawaniu pisma perjodycznego p. t. „Północ“, i ścisłe miał stosunki ze zbiegłymi za granicę po powstaniu 1831 r. głównymi powstańcami. Będąc wysłanym z Paryża do Anglji, udał się ztamtąd razem z powstańcem Adolfem Zaleskim do Krakowa, i tam, po naradzeniu się ze źle myślącymi, powziął zamiar wcisnąć się do Rosji dla rozszerzenia propagandy rewolucyjnéj i przysposobienia do nowych rozruchów, któremi marzył zakłócić pokój gubernji zachodnich. W tym zbrodniczym celu przybywszy tajemnie w końcu r. 1835 na Wołyń, niezwłocznie wziął się do wykonania swoich zamysłów. Jeżdżąc pod różnemi zmyślonemi nazwiskami i wciągając nierozsądnych do spisku, rozszerzał pisma buntownicze, dla drukowania których sposobił się razem ze swoim spólnikiem Rodziewiczem do założenia drukarni tajemnéj. Usiłując zaszczepić zbrodnicze swe myśli, używał do tego za narzędzie łatwowiernych; uwodził kłamliwemi zapewnieniami tych, którzy dali się namówić na jego stronę, zachęcał do czynnego pomnożenia spiskowych, kierował nimi w rozszerzaniu ustaw rewolucyjnych, ustanawiał i zbierał składki pieniężne i dla ugruntowania ohydnéj zdrady, zobowiązywał do wykonania tego wszystkiego przysięgą, nie w jedném zdarzeniu grożąc nawet puginałem (falsz!). Tym sposobem zdołał zawiązać tajemne Towarzystwo demokratyczne w gubernji Wołyńskiéj, Podolskiéj, Kijowskiéj, w Wilnie, i po części w gubernjach Mińskiéj i Grodzieńskiéj. Wciągnął do spisku młodzież w uniwersytecie św. Włodzimierza i Wileńskiéj akademji medycznochirurgicznéj. Nie przestając na tém, wydał odezwę do płci żeńskiéj, wzywając do działania w jego duchu, i kilka przyłączył spólnic.

Przestępca ten został schwytany około Wilna w maju roku 1838 i wszystkie działania jego i spiskowych zupełnie odkryto.

Sąd wojenny, na osnowie postanowień państwa i ustawy 2go rozdziału, 6 punktu; ustawy wojskowéj 127 artyk.; ustawy morskiéj 5 księgi, 85 artyk.; XV tomu praw kryminalnych, 247 i 248; ukazu 25 lipca 1833 i prawideł wydanych 10 grudnia 1838 roku o podzieleniu przestępców na kategorje — osądził emisarjusza Szymona Konarskiego, jako głównego przewódzcę, który zamierzał wszcząć bunt, a do tego pociągnął innych, zaliczyć do pierwszego rzędu przestępców państwa, rozstrzelać, a majątek jaki się u niego wykryje skonfiskować.

*) Ojcem Szymona Konarskiego był Jerzy Konarski, starosta buchcienicki, umarł nagle w r. 1825 w majątku Pojeziorach JW. Gawrońskiego, podczas świąt Zmartwychwstania Pańskiego, przy święconém. Mieszkał wówczas w Dobkiszkach, w Augustowskiém. Dziedziczny majątek Konarskich nazywał się Obelica, w Sejneńskim. — Matka Szymona Konarskiego była z domu Wiszniewska, kasztelanka; w powtórném małżeństwie Struczkowska, umarła w czerwcu 1856 r. w Warszawie. — Po straceniu syna rząd ofiarował jéj znaczną sumę — ale nie przyjęła. Dopiéro późniéj, zmuszona nader opłakanym stanem interesów, przyjęła 40,000 złp., mimo to umarła bardzo biedną.

**) Autor życiorysu Konarskiego powiada, że na 3 dni przed kaźnią kazano jéj wyjechać. Tak miało być w istocie; została wszakże. Jest i kilka innych niedokładności w opisie ostatnich chwil Szymona. Tak n. p. powiada autor, że 15 lutego był mróz tęgi; nie — był śliczny dzień, mrozu było nie więcéj jak 3—5 stopni, a w chwili kaźni i tego nie było. — Powiada, że na Pohulance był plac tracenia. Nigdy go tu nie było. Pierwszego i ostatniego tracono tu Konarskiego. Nie był to nawet plac żaden, ale pole orne, przez miasto wydzierżawiane i nie na Pohulance ale na lewo o ćwierć wiorsty od rogatek i handlu wówczas Malinowskiego, który nazywano Pohulanką. Wspomina téż autor, że przez omyłkę sprowadzono Bernardyna dla wysłuchania spowiedzi. Taka omyłka zajść nawet nie mogła; bo

Po matce wszedł ks. Stefan Lipiński, superintendent kościoła reformowanego w Wilnie. Najprzykładniéj odbył spowiedź, długo ze sobą rozmawiali, razem czytali psalmy pokutne. Lipiński należy do niewielkiéj liczby tych zacnych sług kościoła Chrystusowego, którzy najdobitniéj przypominają pierwszych apostołów. Niepokalanéj czystości i prawości w całém życiu, wielkiéj duszy a niezłomnéj woli, mówca znakomity — był wielce pożądanym dla Szymona w ostatnich chwilach jego żywota.

Przyniesiono herbatę i podano cygara. Pił ją z apetytem i częstował ks. Lipińskiego. Następnie wprowadzono towarzysza ostatniéj jego podróży, z którym został pojmany, a za nim wpuszczano po jednemu innych więźniów. Każdego żegnał czule, serdecznie — ale z największym spokojem. Pocieszał, zagrzewał do wytrwania.

O saméj 11 dopiéro wyszedł z więzienia, w asystencji ks. Lipińskiego. Niezmierne tłumy ludu, bo cała ludność wileńska zalegała ulice, którędy miał być eskortowany, a szczególnie plac przed Bazyljanami przy zetknięciu się ulic Ostrobramskiéj i Wielkiéj. Kazano wszakże wyprowadzić więźnia przez tylną furtkę, prowadzącą na zaułek policyjny. Tu rzeczywiście mniéj było ludzi — ale to tylko nim przejechano ten wązki zaułek.

Przed bramą czekały sanki jednokonne, najęte od dorożkarza. Po prawéj stronie usiadł ks. Lipiński, po lewéj Konarski. Miał na sobie letnie ubranie, w którém go ujęto, na barkach płaszcz letni z tak zwanego barakanu, szeroki, bez rękawów, z krótką pelerynką, na głowie miał czapeczkę włóczkową błękitną, ręką narzeczonéj uwitą; z pod niéj aż na ramiona spadały piękne jasne włosy. Na nogach kajdany. Sanki otaczała eskorta konnych żandarmów, poprzedzało zaś kilku oficerów, mając plac-adjutanta i policmajstra na czele. Jechali prawie noga za nogą, tak wielki był ścisk. Kilka razy głośno odezwał się do żandarmów, skoro się skupiali w około sanek: „Rozstąpcie się — przecież widzicie, że lud chce mię zobaczyć i pożegnać“ — i każdą razą wolę jego wykonywano. Podjeżdżając ku Pohulance tłumy się zwiększały; nietylko ulice i place były przepełnione, ale dachy domów. Na polu przed miejscem kaźni w śniegu stało mnóstwo karet, a na nich na wierzchu matki trzymające swe dziatki, pokazując im i głośno wołając: Patrzcie, oto męczennik, umiera za ojczyznę! — Tysiące chustek powiewało, strumienie łez płynęły. — Przez cały ten czas Konarski rzezki, uśmiechnięty, kłaniał się na wszystkie strony, żegnał ręką, od czasu do czasu zdejmował czapeczkę i trząsł ją nad głową. Kilka razy tylko przemówił głośniéj: Żegnam was! Kochajcie ojczyznę! — Często przemawiał do Lipińskiego. — Toż niejeden monarcha mógłby mi pozazdrościć takiego pogrzebu! — mówił do niego. A Lipiński blady był jak śmierć, gdy przeciwnie Konarski miał zdrową cerę, a ze wzruszenia i nagle ujrzawszy się na wolném powietrzu, którém od dawna nie oddychał, był rumiany. Kto nie znał Lipińskiego, sądził, że to on skazany na śmierć.

A dzień był piękny, jasny, promienia słoneczne zalewały całą okolicę.

Miejsce kaźni przedstawiało szerokie koło, jakby plac przestronny, otoczony wojskiem we trzy rzędy ustawioném. Przy wojsku była muzyka. Po prawéj stronie wszerz placu, czyli koła, stali: komendant Kwietnicki, kilku jenerałów, pułkowników i niższych rang oficerów, jako wykonawców woli carskiéj. Naprzeciw nich, na drugim końcu placu, czyli po lewéj stronie, w samym środku wykopany był dół, a przy nim postawiony słup. Z szeregów wojska występował oddział z 24 żołnierzy złożony, przeznaczonych dla zadania śmierci.

Kiedy sanki wjeżdżały już w koło otoczone wojskiem, a straszna wielotysięczna lawa ludu tuż za nim nalegała, Konarski nie mogąc już żegnać wzrokiem, żegnał jeszcze wyciągając po za siebie obie dłonie, aż za nim szeregi się nie zamknęły.

Cisza grobowa zaległa do koła. Kto nie mógł się dostać na wierzch którego z licznych powozów, wciskał się pomiędzy szeregi żołnierzy. Nie bardzo się oni wzbraniali. Stanąłem pomiędzy szeregami w miejscu, gdzie się koło załamywało, o kilka kroków od śmiertelnego słupa. Widziałem więc wszystko.

Skoro sanki wjechały do wnętrza koła i stanęły, Konarski pierwszy wyskoczył z sanek, a brzęcząc kajdanami gracko i żwawo obiegł i pomógł ks. Lipińskiemu wysiąść z sanek. Poczém śmiałym a pewnym krokiem, z uśmiechem na twarzy, zbliżył się do sztabu i grzecznie witał swych katów. Kwietnicki podał mu rękę. Milczeli wszyscy. Śród tego grona byli ludzie zacni, jak jenerał Kwietnicki, pułkownik Bohdanowicz. Smętne też były oblicza wszystkich, a u niejednego łza kręciła się w oku. Jeden Konarski miał uśmiech na twarzy, a nie było to udanie, albo brawura. Nie, ten wzrok był taki jasny, czoło takie pogodne, a na całém obliczu rozlana jakaś błogość. Zdawało się, że widzisz wieszcza w chwili największego natchnienia, który za chwilę zanóci pieśń zmartwychwstania.

Krótko trwała ta chwila pożegnania. Wziął pod rękę ks. Lipińskiego i razem udali się do słupa. Tu z ciekawością przyglądał się przygotowaniom. Zatopił wzrok w tym dole, który mu przeznaczono na wieczny spoczynek, za chwilę odszedł, ukląkł i razem z księdzem modlić się zaczął. Powstał — a jeszcze Lipiński przez kilka minut błogosławił go, umacniał ducha, nie wytrzymał wreszcie i zaryczał chwiejąc się z boleści. Konarski rzucił się mu w ramiona, a długo, serdecznie się uściskali.

Odszedł nareszcie Lipiński. Zbliżył się plac-adjutant kapitan Walentynowicz. — Jestem gotów! — powiedział do niego Konarski. Zrzucił płaszcz i cisnął go stojącemu tuż jako posługaczowi policyjnemu lampucerowi. Podano koszulę śmiertelną. Sam ją włożył. Przystąpiono do zawiązania oczu. Odtrącił i powiedział do Walentynowicza: „Uproś pan jenerała, ażeby mnie uwolnił od téj hańby, przecież jestem żołnierzem i nieraz już zazierałem w oczy śmierci.“ — Adjutant pobiegł do komendanta. Ten zdala ręką uprzejmie dawał znak, że prośby téj spełnić nie może. Wrócił za chwilę Walentynowicz i stwierdził to samo, dodając, że jenerał bardzo przeprasza, ale nie może ani na jotę odstąpić od regulaminu.

— Ha, toż przecie tylko tchórzom i zbrodniarzom zawiązują oczy! — wyrzekł Konarski.

w Komisji wiadomo było dobrze, że Konarski należał do wyznania protestanckiego. Chyba że Bernardyn sam przyszedł, bez wezwania, ale nie słyszeliśmy o tém. Matka Konarskiego była katoliczką. Nie wspominam tu o wielu innych usterkach, które zresztą nie mają wielkiéj doniosłości. Mówi naprzykład autor, że Konarski wziął do ręki wyrok skazujący go na śmierć i wyrzekł: „Bladym car atramentem podpisał“ itd. Fakt taki nie miał miejsca, a i z natury rzeczy być nie mógł. Mówi, że oficerowie rzucili mu się w ramiona i wołali: „Za naszą i ich wolność.“ Znowu bajka, czcza egzageracja. Nie rzucili się, bo ich nie było nawet przy nim, oprócz jednego Walentynowicza, jak to opiszemy na swojém miejscu. — Fakta dziejowe przedstawiają nieraz tak wielkie, wzniosłe i święte zjawiska, że egzageracja może tylko je kalać i poniżać. Po cóż n. p. dowodzić że Konarski w chwili śmierci przypatrywał się pięknym widokom z Pohulanki! Albo, że żaden oficer nie chciał dowodzić komendą, która miała dać strzał do Konarskiego!

Wtedy jeszcze raz zbliżył się Lipiński, jeszcze raz go uścisnął, potém przeżegnał i odmówił modlitwę stósowną.

A skoro odszedł — przystąpili siepacze — zawiązali oczy, długiemi zaś rękawami od koszuli przymocowali go do słupa.

A słońce pięknie świeciło. Niebo było takie jasne, ani jednéj chmurki.

A ten kilkudziesięciotysięczny olbrzym — tłum — skamieniał. Stał nieruchomy ze wzrokiem wytężonym w jeden punkt.

Milczenie grobowe, straszne milczenie panowało do koła.

Ale oto przerwała je komenda: „pli!“ Komenda nie głośna, raczéj trwożliwa, ale brzęk 24 karabinów był donośny, a strzały były trafne — pięć z nich ugodziło w serce... Trysnęła krew — osunął się trochę na prawą stronę, a głowa przechyliła się na lewą.

W chwili kiedy brzękły karabiny, ów wielotysięczny olbrzym z jednéj piersi i w jednéj sekundzie wydał taki jęk, że ziemia zadrzała i niebo posmutniało...

(Ciąg dalszy nastąpi.)

Do ukochanéj.

(Z oryginału greckiego Safony*).

Bogowie temu zazdroszczą w niebie,
Co szczęsny w twoje spogląda oczy
I słyszy, siedząc naprzeciw ciebie,
Głos twój uroczy.

Uśmiech twój serce wstrząsa mi w łonie,
I duszy niebios bramę roztwiera.
Kiedy cię widzę, lice mi płonie
I głos zamiera.

Język się plącze, ogień tajemny
Najskrytsze ciała przebiega cieśnie,
W uszach mi szumi, majaczy ciemny
Wzrok mój jak we śnie.

Pot przytém zimny wśród dreszczy leję,
Twarz się białością lilji okrywa,
Tchu mi nie starczy, drżąc cała mdleję,
Padam nieżywa.

L. M.

*) Premjowane stósownie do ogłoszenia w Nr. 39 „Tygodnika“ jako najlepsze z 31 nadesłanych.

Kilka uwag o liryce i lirykach naszych najnowszych.

(**J. M.**) Ze wszystkich narzekań i skarg, w jakie bogatą jest bardzo najnowsza liryka nasza, żadna zapewne tak często nie brzmiała z pod stron młodych wieszczów, jak skarga na obojętność słuchaczy. Przyznajmy, że skarga to słuszna. Kto czyta dziś wiersze liryczne? Jeśli wyjdzie zbiorek poezji, przeczyta go krytyk nasamprzód, aby w tygodniowym przeglądzie kilka zużytych umieścić ogólników, przeczyta go daléj nieliczne kółko młodzieży, wreszcie panienki na pensji, kilka dam dla zajęcia czasu i kilka kobiét uczonych. Wierszy umieszczanych po pismach nikt prawie z zasady nie czyta, zwłaszcza jeżeli długie i zbyt czułego ustroju. Zeszczupłało więc bardzo grono czytających, a i usposobienie grona tego zmieniło się znacznie. Dawniéj, przed laty trzydziestu, ukazujący się zbiorek nawet drugorzędnego poety nie pozostawał bez wpływu. Mówiono o nim, deklamowano, uczono się, płakano z poetą; młodzież zwłaszcza przejmowała się duchem i zapatrywaniem autora, zasiadała pod gorączkowém wrażeniem z powołania i bez powołania do klecenia wierszy lirycznych, prawie każdy znaczniejszy poeta ciągnął za sobą przykutych do tryumfalnego rydwanu tysiące miernych naśladowców. Wielu się tam rzucało do liryki, którym bogi odmówiły natchnienia, prąd ten bez wątpienia niejednę słabą ofiarę zepchnął na bezdroża zgubnéj wierszomanji, ale był on zawsze świadectwem młodzieńczych, szlachetnych porywów i nadał téj epoce ten charakter uroczy, ponętny, który ją dla nas patrzących z daleka zamienił w jakiś eden rozkoszy, do którego nie mamy nadziei powrócić. Dzisiaj spoważnieliśmy znacznie, zmądrzeliśmy może rozumem, ale zziębli sercem; liryka nie przemawia już do nas, nie upaja nektarem uniesień, liryk wzlatujący ku niebu na ziemskich nas zostawia nizinach, łzy jego i skargi zamiast nas zmiękczyć, poruszyć, wywołują uśmiech szyderczy. Żyjemy spokojnie z zegarkami w ręku, nic nam apetytu, nic nam snu błogiego nie psuje, oprócz może kłopotów pieniężnych, jakżeż nam tu wierzyć kwileniom poety? — Znane to bardzo zarzuty, tyle razy po różnych powtarzane pismach, trącą już dzisiaj frazesem. Ubóstwo to jednak uczucia, obojętność ta nietylko dla nowszych, lecz i zgasłych wielkich naszych mistrzów istnieje i w niejednym wyjątkowym umyśle wywołuje żal i obawę i gorące życzenie poprawy. My fakt ten przytaczamy jedynie dla skreślenia stanowiska liryki naszéj najnowszéj, nie żałujemy, nie mamy żadnéj obawy, a wszelkie wołania: poprawy! uważamy za niestósowne i próżne. Społeczność nie jest wychowańcem, któregoby mentor - dziennikarz mógł strofować i do téj lub owéj napędzać nauki, wyznaczać mu na tę godzinę kurs chemji, na drugą rozdział z prawa i nauk państwowych, pozostawiając mu w trzeciéj porcję liryki naszéj najnowszéj, społeczność silnym podlega prądom, częstokroć ukrytym, niejasnym, które ku téj lub owéj zwracają ją stronie, którym musi ulegać bezwiednie, które rozwój tylko dziejowy przekształca. Dzisiaj prąd czasu w przeciwną uniósł nas stronę, dzisiaj liryka, która przed laty trzydziestu wszystkich głowy ogarnęła i serca, obojętna dla naszych umysłów. I cóż znaczą w obec tych prądów utyskiwania dzienników, skargi zapoznanych genjuszów? — mogą one zaznaczyć stan rzeczy, zmiany wywołać niezdolne. — Publiczność na podobne zarzuty ma zresztą gotową odpowiedź: Jesteśmy obojętni dla liryki, gdyż nie mamy dziś wielkich poetów; niechaj z nich który drugim zostanie Mickiewiczem, uznamy go i uwielbimy natychmiast. — Przyznajmy znowu słuszność publiczności: nie mamy dziś liryków pierwszorzędnych, — ale dodajmy zarazem, że żądania jéj również bezpodstawne, jak żądania strony przeciwnéj. Antiliryczny nastrój społeczeństwa i brak znakomitości lirycznych, to dwa fakta

w ścisłym z sobą związku, lecz nie w związku przyczyny i skutku, to przeciwnie dwa naturalne i nierozdzielne wypływy rozwoju piśmiennictwa naszego, bezpośrednie skutki poprzedzającéj epoki. Epoka Mickiewicza była dla ducha narodu naszego epoką nadzwyczajnych wysileń, wulkanicznych, że tak powiem, wybuchów. Naród nasz wydał w owym czasie cały szereg mistrzów pierwszorzędnych, wszedł na drogę nietkniętą dotychczas, — urok nowości tak olbrzymie w ogóle dla zmiennéj natury naszéj posiadający znaczenie, cudów dokazał prawdziwych. Były to dni, w których naród cały jednym był poetą, dni gorączkowych uniesień, natchnionéj duchowéj bachanalji. Dzisiaj nastąpiła konieczna, nieunikniona reakcja — zmęczenie, spokój, obojętność. Zasnąć i wypocząć trzeba na czas pewien, aby kiedyś, nowych powoławszy mistrzów, świeżym umysłem nowym podołać wrażeniom.

Przystępując do ogólnego scharakteryzowania liryki najnowszéj, podnieść to właśnie musimy przedewszystkiém, że epoka dzisiejsza pod względem poezji echem jest tylko i ciągiem dalszym niejako téj wielkiéj epoki zupełnych przewrotów, jakie w pierwszéj wieku naszego połowie u wszystkich nastąpiły narodów, a która u nas od głównego jéj przedstawiciela, epoki Mickiewiczowskiéj otrzymała miano. Przemiany podobne nie są codziennym wypadkiem, szereg lat po nich upływa, zwyczajnych, mniéj płodnych w ważniejsze zjawiska, w których ludzkość po tych nowo otwartych kolejach pielgrzymować musi do końca, w których zgromadzone spożywa zasoby, nie myśląc o tém jeszcze, co jéj zostanie na przyszłość. Lata takie wydają zawsze plemię epigonów, którym obce przeznaczono wykończyć pomysły; kopią oni i kopać muszą w zakreślonym naprzód kierunku, aż dopóki bogactwa téj żyły całkiém nie wyczerpią. Zastęp liryków dzisiejszych, to podobne plemię epigonów, pójdą oni zawsze tym torem, jaki im poprzedni nakazali mistrze, nie wyswobodzą się nigdy z pod potężnego ich wpływu, zawsze będą dokończać, naśladować, przerabiać, niezdolni do samoistnéj prawdziwie twórczości. Mickiewicz, Krasiński, Słowacki, Wiktor Hugo, Alfred de Musset, Heine i cały zastęp tych wielkich reformatorów poezji odzwierciedla się i powtarza w utworach młodszych pokoleń i powtarzać się będzie tak długo, aż dopóki naród nie popadnie w przesyt duchowy i nowych nie zażąda pokarmów. Czyż więc naśladownictwo, brak oryginalności może być dla tych młodszych zarzutem? Bynajmniéj, — winićby raczéj trzeba fatalizm, który im takie przeznaczył zadanie, którym za późno ukazać się pozwolił na świecie. „Weh dir, dass du ein Enkel bist!“ — głęboką tę prawdę do nich szczególniéj zastósować trzeba.

Że się zbliżamy do chwili owego przesytu, że liryka ta coraz mniéj odpowiada naszym potrzebom, tego z jednéj strony dowodem wzrastająca obojętność i nuda, z drugiéj znowu charakter i kierunki nowszego liryzmu. Liryzm ten we wszystkich kierunkach nosi piętno widoczne upadku. Zatrzymajmy tu podział trafny jednego z krytyków warszawskich*) i rozróżnijmy dwa główne kierunki: liryzm dodatni i ujemny. Pierwszy objektywnéj przeważnie natury, patrzy na świat okiem spokojném, zgadza się z rzeczywistością, rzeczywistość tę ubarwia uczuciem, wyobraźnią, w niéj szuka poezji, natchnienia. Rodzaj ten liryki wymaga w osobie poety wewnętrznéj harmonji, pojęć jasnych, dojrzałych, zapasów prawdziwego uczucia i tego zmysłu przedewszystkiém, który mu wskazywać powinien co pięknem, co godném jest pieśni. Zaleski, Syrokomla, Lenartowicz, Ujejski są przedstawicielami dodatniego liryki kierunku. Czasy dzisiejsze tym właśnie kierunkom najmniéj są jednak przychylne. Koryfeusze téj liryki w innych zupełnie wyrośli stosunkach, — ludzie to zazwyczaj, którzy młodość swoją spędzili w bezpośredniem otoczeniu przyrody, wśród stepów Ukrainy, pośród lasów Litwy, w wiejskiém, uroczém zaciszu, którzy poznali wspaniałe dziejowe postacie z legend i podań ludowych, którym wolno było za młodu marzyć i dumać dowoli i stwarzać w duszy swojéj jakiś świat odrębny ideałów. Ogarnęli oni przyrodę, dzieje, człowieka uczuciem nasamprzód, wyobraźnią, poznali ze stron poetycznych, a wrażenia te oparły się wpływom rozwijającéj się myśli, pozostały na zawsze w ich sercu. Dziś niema podobnych wyjątków, — dzisiaj nam marzyć nie wolno, nie wolno w obec otaczających nas rzeczy zająć bierne czysto stanowisko, poddać się bezczynnie wrażeniom i w oderwaniu od rzeczywistości tworzyć sobie świat wyobraźni. Dziś spieszą nas jak najrychléj zasadzić do książki, zamknąć w murach szkolnych, dziś nam zmieniają natychmiast cudowne zjawiska natury w tysiąc nazwisk, liczb i określeń, uczą nas jak jéj wybadać tajniki, jak z nich rozliczne wydobyć korzyści, — bohaterowie przeszłości występują dla nas od razu w zwyczajnéj postaci śmiertelnych, w towarzystwie dat suchych i faktów, — od lat najmłodszych uczą nas myśleć i wszystko ogarniać rozumem. Świeżość i wrażliwość uczucia rdzewieje tymczasem i słabnie jak magnes leniwy, rzeczywistość traci w oczach naszych wszelką aureolę poezji, — chociaż świeci ona jak dawniéj, nie umiemy jéj dojrzéć i poznać, jesteśmy w obec téj wielkiéj zewsząd rozlanéj poezji, jak ludzie, którym długo zawiązano oczy — ślepniemy w końcu zupełnie. Lirycy nasi najnowsi to dzieci wieku niestety — niema wśród nich serc młodych i rzewnych, dusz czystych, przejętych poezją, ludzi łączących w sobie spokój i dojrzałość męża, z uczuciem świeżém jeszcze, dziewiczém, — ludzie to zestarzali za młodu, przyuczeni do rozumowania, ociężali, zimni, nieczuli. Bełzę, o którym mówimy poniżéj, jedynym nazwać można wyjątkiem. Zdaje im się, że nic łatwiejszego jak unosić się nad pięknością przyrody, pisać jaką dziejową legendę, marzyć sobie o niebieskich migdałach, — piszą więc frazesy i rymy, naśladują Lenartowiczów, Zaleskich, Karpińskich, naśladują manierę i formę, nie zdolni przejąć się ich duchem. Kopje te w obec oryginałów, to jak odlewy gipsowe w obec dzieł sztuki rzeźbiarskiéj — zewnętrzność wprawdzie ta sama, ale kopja wyrobem fabrycznym, oryginał utworem natchnienia. Brak natchnienia, brak poezji prawdziwéj, charakteryzuje lirykę dodatnią. Namysł i wyrachowanie zastępują swobodę wyobraźni i prąd naturalny uczucia, — utwory to więc sztuczne, wylizane pod względem formy, treścią ubogie i płytkie. Liryzm dodatni, jak go słusznie ocenia Bartkiewicz, to ogromna dziś rzeka komunałów, spływająca w morze zapomnienia. — Liryzm ujemny więcéj liczy zwolenników i pod swym sztandarem daleko większe zgromadził zdolności. „Liryzm ujemny, powiada nasz krytyk, wkracza mocno w dziedzinę filozofji, jest w walce z odwiecznemi tajemnicami otaczającemi człowieka, szturmuje do nich jak Tytan, burzy się i jak ocean uderza o twarde skały ustaw społecznych, praw boskich i urządzeń ludzkich. Pytania: kto jestem? gdzie jestem? zkąd i dokąd idę? — to jakby sępy wiecznie szarpiące pierś Prometeusza.“ Liryzm dodatni zasadza się na harmonji, na zgodzie z rzeczywistością, liryzm ujemny przeciwnie to walka z porządkiem społecznym, w imię wyższych, nieuznanych ideałów. Ochrzczono go powszechnie mianem bajronizmu — u nas Słowacki głównym jest jego przedstawicielem. Kierunek to bardzo częsty u młodych poetów, pociągający jak każda szermierka, pociągający dziś zwłaszcza dla ludzi, którzy boleją nad prozą i materjalizmem współczesnym. Wymaga on w osobie poety przedewszystkiém wiedzy niemałéj, — poeta zbadać po-

*) Zob. Tyg. Illustr. Serja II, tom VII, nr. 179 i 180. Wł. Bartkiewicz: „Liryzm i nowy zastęp liryków naszych.“

winien pozycje i słabe strony przeciwnika, poznać dokładnie społeczeństwo, odczuć i zgłębić cierpienia jego i wady, zanim się porwie do walki. Walka to zresztą tak trudna, że genjuszom jedynie dozwolono o własnych podjąć ją siłach. Pokusić się trzeba o rozwiązanie największych zagadnień, stanąć na wyżynach abstrakcji, nie tracąc z oczu nizin rzeczywistości, wzlecieć w te sfery nietylko myślą, ale i wyobraźnią i nieostygłém uczuciem, — sprzeczne to na pozór warunki dla nas ludzi zwykłego zakroju, połączyć je i sharmonizować samoistnie, to zadanie nad siły talentów, — tylko genjusz podołać mu może. Ztąd to w tym rodzaju liryki tak mało gwiazd pierwszorzędnych, ztąd taki odstęp rażący pomiędzy sferą genjuszów a sferą większych talentów. W liryce dodatniéj granica to całkiém nieznaczna, przechodzimy tu od ludzi genjalnych po stopniach bardzo maleńkich do zwyczajnych i miernych talentów, każda powiedzieć można jednostka odrębną klasę stanowi. Ktoby jak naturalista dokładnym chciał się zająć podziałem, ustanowiłby dziesiątki gatunków, a trudném byłoby zadaniem oznaczyć właściwe ich cechy, zwłaszcza cechy rzędów najwyższych. Oryginalność, którą uważają zazwyczaj za znamię właściwe genjuszom, miarą być tutaj nie może, — ileż mamy w liryce dodatniéj oryginalnych, wielkich prawdziwie poetów, których genjuszami nazwać niepodobna? W liryce ujemnéj przeciwnie, genjusz i talent wielką oddzielone przestrzenią — genjusz jest oryginalnym, talent naśladowcą, szermierzem, który walczy podług planów wodza, — na stopniach pośrednich zbywa tu zupełnie. — W gronie liryków nowszych znajdujemy tylko zdolności, naśladowców Bajrona, Heinego, Słowackiego, Musset'a i innych, naśladowców mniéj jednak szczęśliwych. Kierunek ten wyradza się widocznie, utwory najnowsze noszą piętno przesady i chorobliwości, piętno zwykłe każdego rozkładu. Poetom tym zbywa przedewszystkiém na niezbędnéj dojrzałości umysłu, — mówiąc jaśniéj, na podstawach nauki i wiedzy. Zdolność i zapał młodzieńczy, powierzchowna, ogólna ogłada i znajomość bliższa uwielbianych wieszczów wystarczającą zdaje się w ich oczach, uprawnia ich do rzucenia rękawicy temu, co stworzyła ludzkość wiekami mozołów i pracy. Ideały ich dla tego w bezcielesnych nieograniczonych rozpływają się utopjach, dążności ich zagadkowe, niejasne. Znaczna część niema żadnych dążności, trzyma się ślepo swych wzorów, rozpacza nad światem, nie wiedząc dla czego rozpaczać, rozrywa łono własne i zakrwawia serce bez żadnéj rozsądnéj przyczyny, dla rozwianéj jakiéjś miłostki, dla kilku niemiłych doświadczeń, rozklęczona przed własnym genjuszem, z pogardą i szyderczym uśmiechem spogląda na nikczemność świata. Poczucie prawdziwéj wyższości przerodziło się dzisiaj w zarozumiałość i próżność, przesada i chorobliwe rozdrażnienie zastąpić ma wyobraźnię i ogień uczucia, ubóstwo treści kryje się pod szatę maniery i błyszczącéj formy.

Ubóstwo treści wspólne jest obydwom kierunkom, łączy się z niém nieodstępnie pociąg do frazeologji i zwracanie głównéj uwagi na formę i piękność języka. Pod tym względem naznaczone rodzaje odrębne mają właściwości. Frazeologja liryki dodatniéj sztuczną jest, wymuskaną i miękką, — deklamacja ta robi na nas wrażenie wystrojonych lalek fryzyjerskich, — zalatuje od nich zdaleka woń pachnideł i wyrobów z wosku. Liryka ujemna natomiast wysila się na dzikość jakąś, niespokojność, burzliwość, która ma być odbiciem nawałnic powstających w duszy poety. Patrzymy na to, jak na efektowną scenerję teatru, — lasy, skały, urwiska, grzmot i błyskawice, niebo się wali, ziemia się zapada, pozostaje dym tylko i próżnia. Trafnie ten rodzaj efekciarstwa charakteryzuje wzmiankowany krytyk: „Ażeby czémś zaciekawić czytelnika, używa się zazwyczaj chaosu, ciemności, niedomówień, napomnień. Zrozumiałość stała się wadą, gdyż odsłania nicość wewnętrzną, nadaje pozór klasyczny. Lepiéj niech się czytelnik sam męczy, niech się domyśla tego co jest i co być ma właściwie, tém większe bez wątpienia wrażenie. „Niech czuły słuchacz w swéj duszy dośpiewa“ stało się hasłém dla wszystkich poetów, którzy nic nie umieją powiedzieć, a chcieliby mówić najwięcéj.“ — Dopomaga im w tém forma zazwyczaj, któréj wiele poświęcają starania. W rzeczy samej język poetyczny doszedł dzisiaj do stopnia doskonałości, o któréj przewyższeniu zamarzyć nam trudno, ale niestety stał on się u niejednych wyłączną prawie zaletą, wyłącznym celem zabiegów, zwiódł niejeden talent prawdziwy na zgubną drogę powierzchownéj blagi i zepsuł smak publiczności, którą u nas zresztą tak łatwo zewnętrznym oślepić pozorem.

(Ciąg dalszy nastąpi).

MAM DWA DOMY.

Fraszka sceniczna w 3 aktach

przez

Włodzimierza Wolskiego.

(Ciąg dalszy.)

Scena IV.

Ciż i Kasia.

Pani Damazowa (z cicha).

Wyprasowałaś czepek?

Kasia (z cicha).

Jeszcze nie — proszę pani.

Pani Damazowa (z cicha).

Nauczę ja cię potém, ty błaźnico, aż mnie ruski miesiąc popamiętasz. Zrób teraz kawy, nie wiele kładź cykorji i przynieś rumu.

Kasia (z cicha).

Kiedy, proszę pani, Fipcio wdrapał się na komin i wylał kawę z fusami.

Pani Damazowa (z cicha).

Nie wiem, gdzie też podziewacie oczy, ty błaźnico i głupia Klementyna, żeby nie ustrzedz chłopca. Zrób świeżéj, prędko! (Kasia odchodzi).

Scena V.

Ciż — prócz Kasi.

Pani Damazowa

Cóż więc w cukierni, kochany bracie?

Wojciech.

Figurez-Vous, czytam żurnale i piję dmitaskę, wtém spostrzegam figurę ze szramą na czole, wąsem szpakowatym, wstążeczką virtuti militari. Poznaję dawnego mojego majora, jeszcze przed 1831 rokiem, awansował następnie na pułkownika. Prezentuję się, poznał mnie.

Pani Damazowa.

Pewno kontent był.

Wojciech.

Quelle idée! Opowiadam, że za amnestją wróciłem, stary nagle étonné, alteré — w kąt mnie zaciągnął, à demi mot odpowiadał, jakby nie dowierzał. Sacre! Nawet przy congé zaledwie palcem dotknął mi ręki. Mam nerwy jak okrętowe kordy, kochana bratowo! Chociaż stary, silny-m jeszcze za pięciu młodych...

Pani Damazowa.

Widać to doskonale.

Wojciech.

Nagle miękko zrobiło mi się na sercu, aż mnie sacre, ma foi, serce zabolało jak babę — pardon!

Pani Damazowa.

Nic, nic — kochany bracie! (Po chwili) Tak to wszyscy u nas, boją się cienia własnego. Boże mój! czy to mi raz, to jest mnie i mężowi przykro było, żeśmy bratu nie odpisywali na jego żądanie. Ale cóż? niepodobieństwo było, kategoryczne niepodobieństwo. (Przytyka chustkę do oczu — płaczliwie). Teraz, kiedy niby nieco łagodniéj u nas, wierzaj mi brat, że, gdybyś przybył najbiedniejszy, w tym jednym surducie, bez grosza pieniędzy, przyjęłabym cię tak serdecznie, jak teraz.

Wojciech (n. s).

Czy stary Antek czasem nie egzageruje? Kobiecina zdaje się z serca mówi. (Głośno). Nie wątpię, kochana bratowo! (Całuje ją w rękę)

Pani Damazowa (nie puszczając ręki).

Przekonasz się zresztą brat dzisiaj, że myślałam, że myśleliśmy zawsze najżyczliwiéj o panu. Proszę mi — to jest — nam wierzyć i kochać trocha...

Wojciech (n. s.)

Ma foi — kobiecina jakoś inaczéj wygląda i timbre głosu ma przyjemniejszy. Czy stary Antek nie egzageruje?

Scena VI.

Ciż i profesor.

Profesor (wchodząc, n. s.)

Brat z bratową — djalog familijny. (Głośno). Witam, witam. (Pani Damazowa puszcza rękę Wojciecha). Pan Damazy, którego spotkałem z panną Klementyną, polecił mi oznajmić, iż wkrótce przybędzie, i przypomnieć pani o bociance pieczętowanéj żółtym laczkiem. Tak się wyraził, nie wiem, co to znaczy.

Pani Damazowa.

Wiem — dziękuję. (N. s) Licho tego fajczarza przyniosło!

Profesor.

Prócz tego nadmienił, żeby nie zapomnieć o panu Kajetanie, pani faworycie.

Pani Damazowa.

Tak jest — faworycie. Zasługuje na to: nabożny, regularny chłopczysko. Nie zapomniałam.

Profesor.

Bardzo dobrze.

Pani Damazowa (n. s)

Trzeba będzie wszystkich na kawę zaprosić. Co tu ambarasów i wydatków? (Głośno). Zaraz wracam. Proszę bardzo — niech pan brat zapali drugie cygaro. (Odchodzi).

Scena VII.

Profesor i Wojciech.

Profesor.

Drugie cygaro? Jakież łaski!

Wojciech.

Ma foi — serdecznie dzisiaj rozmawiała ze mną. Nie złe widzi mi się babsko au fond.

Profesor.

W gruncie — bardzo dobrze. Co to za spryt u niewiast, kiedy takiéj nawet pani Damazowéj udało się odegrać rolę syreny, syreny zaiste w średnim wieku. O czémże gawędziliście tak czule — jeśli wolno zapytać?

Wojciech.

Opowiadałem jéj smutną naszą ekskursję, a jéj condoléance...

Profesor.

Współubolewanie...

Wojciech.

Zdawało się szczere. O towarzyszu jednak ekskursji, to jest o tobie, nie suflowałem ani słówka.

Profesor.

Bardzo dobrze. Obawiałem się, czy cię nie wzięła na egzamin z twoich dostatków?

Wojciech.

Nie.

Profesor (n. s).

Pojmuję dyplomację: komedja bezinteresowności.

Wojciech.

Otwarcie mówiąc, stary Antku, fatyguje mnie i ambetuje, że są zmistyfjowani.

Profesor.

Chwileczka cierpliwości! Wkrótce ich wyprowadzisz z błędu. — Według mnie jednak — niepotrzebnie zwierzałeś się syrenie z przykrych wrażeń, jakich nie zdoła uczuć i zrozumieć.

Wojciech.

Kiedy mi serce fanduje się z bólu.

Profesor.

Bardzo dobrze. Nie powinno się krajać serce. Za żywo obeszło cię zajście z pułkownikiem.

Wojciech.

Za żywo? Bez straty czasu powinienbym posłać dwóch sekundantów. Że tam nosi rozetkę virtuti militari, to i ja mam krzyż złoty oficerski, tylko nie noszę na surducie — pod surdutem, na piersiach.

Profesor.

Wiem — dostałeś na placu boju, pod Iganiami.

Wojciech.

I nigdy nie mankowałem honorowi oficera polskiego.

Profesor.

Wierzaj mi, że cię pułkownik potém pierwszy serdecznie powita.

Wojciech.

Sacre! niech go tam!

Profesor.

Przed dwudziestu kilku laty uniosłeś na tułactwo wspomnienie ówczesnego kraju i Warszawy z chwil gorących, podczas otwartéj walki, kiedy każdy młody żył męzkiém życiem za dziesięciu.

Wojciech.

Z chwil także horriblement szkaradnych, kiedy męztwo i sakrifise zwichnęli ębesile, intryganci, zdrajcy, reakcjonery.

Profesor.

Bardzo dobrze. Nie zapominaj jednak i o wrogach, nader przebiegłych. — Wspomnienie więc kraju nieskalane tkwiąc w pamięci, wydatniało, szlachetniało w miarę upływu lat jak piękny krajobraz z właściwego oddalenia. Wróciwszy naraz do kraju, porównywasz je z dzisiejszém błotem i śmieciami... Cóż dziwnego, że porównanie przykre i bolesne? Uprzedziłem cię o okropnych zmianach u nas — bardzo dobrze — wspominałem, że Warszawę trudno poznać.

Wojciech.

Ma foi — oui.

Profesor.

Wszystko jednak, co widziałeś, daje ci tylko wyobrażenie piekielnéj feruły, pod jaką żyjemy, lecz nie wiesz jeszcze, w jaki sposób żyjemy a raczéj oddziaływamy. Okazy zaś, spotkane przelotnie na mieście lub w domu braterstwa, nie mogą ci dać o nas dokładnego pojęcia.

Wojciech (ściskając mu rękę).

Au contraire, stary Antku! Wiem właśnie z domu braterstwa, że tu biją szlachetne, prawdziwie polskie serca, że nawet propagują tutaj tendances populaires...

Profesor.

Dążności ludowe...

Wojciech.

Które ja sam z przyjemnością nawet między mazurami uwrjerami, bo, jak ci wspominałem, tak my emigranci nazywamy Francuzów, między mazurami propagowałem. Ma foi, mój drogi — pojmuję dobrze, iż za pierwszym krokiem idą w konsekansie następne; widzę, że amnestjonowanego emigranta gorsze jeszcze mogą spotkać siurpryzy od dzisiejszéj w café! (Żywo). Sacre, sacre! Djabeł mi podsuflował dać się perswadować Damazemu. Nie darmo mnie przestrzegali koledzy a nawet patron.

Profesor.

Znów powracasz do dawnéj śpiewki.

Wojciech.

Basta więc, stary! Nie suponuj, żeby mi wszystko tutaj sprawiało wstrętne impresje. Entre autres bardzo ładny z pięknemi monumentami cmentarz na Powązkach...

Profesor.

Gdzie poczciwa panna Klementyna z własnych oszczędności wystawiła rodzicom nagrobek, Damazy nigdy się o to nie troszczył. Prawda? jak mogiła starannie pielęgnowana?

(Ciąg dalszy nastąpi.)

PRZEGLĄD LITERACKI.

Rocznik Towarzystwa historyczno-literackiego w Paryżu. Rok 1870–1872 — nakładem J. K. Żupańskiego

Piękneż to wydanie tego Rocznika in octavo majori, robiące zaszczyt i drukarni w której wyszło (Dr. W. Łebiński w Poznaniu 1872 r.) i nakładcy, Janowi Konstantemu Żupańskiemu, temu niezmordowanemu wśród trudnych u nas stosunków księgarskich przedsiębiorcy, w wydawnictwie pożytecznych i znakomitych prac polskich. Wielki brak pokupu u nas książek, a ztąd powiększona stosunkowo cena każdéj z osobna, odstręczać musi nakładcę od nabywania i wydawania dzieł obszernego rozmiaru, a więc i wielkich odrazowych kosztów na honorarjum autora, na druk i papier. A jednak księgarnia Żupańskiego nie zraża się nabywać i takie dzieła, że tylko wspomnę Trentowskiego Bronisława Panteon wiedzy ludzkiéj, mające obejmować sto pięćdziesiąt arkuszy druku. Warto zaprawdę nietylko podziwiać taką skwapliwość w wydawnictwie rzeczy polskich, ale ją i wspomagać kupnem i przedpłatą, ile, że tylko prace znakomitéj treści i renomowanych pisarzy wychodzą z nakładu pomienionéj księgarni.

I Rocznik, o którym mowić zamierzamy, jest dziełem kosztownego wydania. Krom XXVIII stronnic wstępu, obejmuje 676 stronnic tekstu. W dalszym ciągu Roczników Towarzystwa historyczno-hiterackiego, które od 1866 r. rok rocznie wychodziły, tom obecny, z powodu wypadków wojennych we Francji, zawiera prace stowarzyszonych od 1870 do 1872 r., i dla tego bez porównania jest obszerniejszym od poprzednich.

Miło wziąść tę księgę do ręki. Wieje z niéj ożywczém ciepłem miniony, a zawsze jeszcze zacny żywot narodu, z przedrewolucyjnych i porewolucyjnych czasów. Wybornie, choć może zbyt krótko, bo tylko w formie listu, naszkicowany jest artykuł „Filareci i Filomaci“ przez Ignacego Domejkę, jednego z żyjących jeszcze filomatów. Cóż to za znakomita była młodzież owoczesna uniwersytetu wileńskiego, kiedy jeszcze ks. Adam Czartoryski był jego kuratorem! Cóż to za dzielne i hoże postacie, nauki, cnoty i miłości ojczyzny pełne, jak Tomasza Zana, Adama Mickiewicza, Jana Czeczoty, Józefa Jeżowskiego, Onufrego Pietraszkiewicza, Franciszka Malewskiego, Łozińskiego, — tych pierwszych siedmiu filomatów, połączonych ze sobą węzłem przyjaźni i poświęcenia się ku dobru współkolegów swoich! Związek ten, acz nie polityczny, był wszakże tajemny, i nie urosł jak do liczby czternastu, a działał wśród

obszerniejszego połączenia się młodzieży uniwersyteckiéj zwanéj Filaretami. Gdy Nowosilcow i w. ks. Konstanty przybyli do Wilna, zaczęto mieć na uwadze akademików. Między filaretami znalazł się zdrajca, Jankowski. Rozpoczęły się śledztwa, poczém nastąpiło rozproszenie związkowych po różnych częściach Syberji i Rosji, aż i śmierć zaczęła zmiatać jednego po drugim. Widzimy filaretów jeszcze w oddziałach partyzanckich na Litwie 1831 r. jak Parczewskiego, Szemiotha, Pola, Chodźków, Kublickich. Z późniejszych tułaczy Michał Wołłowicz i Szymon Konarski wrócili jeszcze szukać śmierci w swoim kraju. Domejko jeden żyje jeszcze w Santjago w Chili, i ztamtąd listem przesyła dawne młodzieńcze wspomnienia swoje.

Interesownie napisane „Kilka wspomnień starego żołnierza“ przez pułkownika Mikołaja Kamieńskiego. Wiele tam charakterystycznych rysów, rzucających światło na wypadki rewolucji listopadowéj. Obraz carewicza Konstantego pod Mokotowem, a potém w Brześciu Litewskim, odprowadzenie generałowéj Lewickiéj do granic Litwy; zmiana naczelnego wodza w Bolimowie; stan wojska naszego pod Płockiem; przejście granicy pruskiéj pod Brodnicą; trafna charakterystyka generała Chłopickiego; — wszystko to nacechowane jędrnym, poczciwym, żołnierskim trybem. Kiedy autor na końcu opowiada zmarnowanie niejednego pomyślnego wypadku, jak wypuszczenie Rydygiera pod Łysobykami, dodaje w uwadze: „jeden z adjutantów Rydygiera, Polak, spotkał na forpocztach znanego sobie dobrze oficera polskiego i temu powiedział: „dwa razy dawałem wam Rydygiera jak w garść, nie umieliście skorzystać. Niech was djabli biorą.“ I z tém odjechał. — Na podobny sposób krótko i węzłowato spisane są „Wspomnienia.“

Dramat w V aktach „Mikołaj Żebrzydowski“ przez Ludwika Orpiszewskiego, pisany jeszcze w Luzannie 1857 r., już zkądinąd jest znany. Poprzedza go wiersz pochlebny do autora, Teofila Lenartowicza, wywołany przeczytaniem dramatu w lutym 1863 r.

Korespondencja krajowa Stanisława Augusta z lat 1784 do 1792, także osobno oddrukowana, zajmuje większą część Rocznika, bo 250 stronnic. Z bogatego skarbu archiwum książąt Czartoryskich w Paryżu, w którym same listy z czasu panowania Stan. Augusta 94 woluminów in folio zawierają, wyjął Bronisław Zaleski co najważniejsze i podał do Rocznika nie w całości, ale w odpowiednich wyjątkach, niekiedy dość obszernych, tworząc z tego materjału, własném opowiadaniem, obraz wewnętrznych stosunków króla Stanisława z ostatnich ośmiu lat jego nieszczęśliwego panowania. Widać ztąd jak drobnemi, rzekłbym najdrobniejszemi zajmował się stosunkami w nieustających sporach i rozterkach magnatów, jak i drobna szlachta w domowych swoich interesach do niego się udawała; nawet żyd Herszek Szmulowicz trudzi króla, aby dziad jego mógł objąć rabinostwo w Lublinie, i król wstawia się za nim do wojewody lubelskiego. Byłże tam czas zajmowania się polityką i sprawami saméj Rzeczypospolitéj, otoczonéj z trzech stron groźnemi zamachami mocarstw sąsiednich! Czynił to Stanisław nietylko z wrodzonéj sobie dobroci serca, ale i ze względu na to, że wysoka szlachta zawsze tylko w nim widziała stolnika litewskiego i że ich sobie dla tego król narażać nie śmiał. W téj pracy Zaleskiego rozwija się przed nami obszerny dramat najrozmaitszych intryg partyjnych i wpływów na sprawy publiczne kraju, na sejmy, sejmiki, wybory, obsady godności i urzędów, tytuły, ordery i t. p., ani dziwić się można, że przy chwiejności i słabości charakteru króla, dramat ten w smutną rozwiązać się musiał tragedję całkowitego rozszarpania Polski.

Karol Różycki, nekrolog przez Leonarda Rettela, przedstawia nam piękną żołnierską postawę tego zawołanego naczelnika trzech szwadronów Wołyńców, z któremi się przedarł do Zamościa, a potém połączył z korpusem Samuela Różyckiego, którego był chwałą i ozdobą. On to i jego pułk białoczapkowy z okrzykiem „sława Bohu!“ uderzając na nieprzyjaciela, rozstrzygnął nieraz bitwy na korzyść naszą. Na emigracji 1842 r. został jednym z najwierniejszych uczniów Towiańskiego. Serdeczny, jak to nierozerwana przyjaźń jego z ks. Edwardem duńskim okazała, uległ jak tylu innych z sercem gorąco miłującém ojczyznę, temu chwilowemu obłędowi. Wszakże w r. 1863 siedmdziesięciopięcioletni starzec przybywa jeszcze do Galicji, by służyć Bogu i ojczyznie. Ale powstanie już się chyliło ku upadkowi. Wrócił do Paryża, gdzie d. 12 września 1870 r. życia dokonał.

Protokóły posiedzeń rady administracyjnéj, wydziału wykonawczego téjże rady i rządu tymczasowego w Warszawie od 30 listopada do 5 grudnia 1830 r., przechowane w oryginale w bibljotece polskiéj w Paryżu, — nader są ciekawe z powodu samego przedmiotu, jaki traktują. Wszakże tak pospiesznie i tak niedostatecznie prowadzone, że zaledwie ułamkowy obraz tych ważnych posiedzeń z pierwszych dni rewolucji listopadowéj uczynić sobie można. Widać tylko z nich, jak nieszczęśliwy był sam administracyjny zaczątek powstania. Rada administracyjna o rewolucji nie myślała wcale, odbywała rządy w imieniu cesarza i króla, i myślała tylko o układach.

(Dokończenie nastąpi).

WIADOMOŚCI BIEŻĄCE
o
RZECZACH POLSKICH.

— **Teatr.** Z ubiegłego tygodnia podnieść należy dwa pięknie wypełnione wieczory: przedstawienie znakomitego dramatu Franciszka Ponsarda „Lew zakochany“ w tłomaczeniu pana Alfa Szczepańskiego i komedji oryginalnéj dyrektora naszego teatru p. Zygmunta Sarneckiego „Kalecy.“ Zarówno staranna wystawa jak poprawna gra artystów zasłużyły na pochlebne uznanie, żałujemy mocno, że natłok przygotowanych materjałów nie pozwala nam dziś wyjątkowo obu tym wieczorom poświęcić obszernego sprawozdania. Niepodobna nam jednak przemilczeć, iż pewna część publiczności nie przywykła do utworów poważnych i pięknych a lubująca się w bezmyślnych farsach i t. z. bombach dramatycznych, zachowuje się w teatrze tak, jakby to był cyrk lub menażerja.

Spodziewamy się, że dyrekcja nie będzie folgować wykolejowanemu smakowi, lecz trwając w obranym a chwalebnym kierunku, przyczyni się do wyrobienia dobrego smaku, tak jak to się już stało w Krakowie przez stosunkowo krótki perjod ostatnich dwóch lat.

* * *

— Pod redakcją Franciszka Krajewicza wychodzić będzie w Poznaniu, nakładem Dra W. Łebińskiego, od Nowego Roku czasopismo społeczno-polityczne p. n. „**Wiarus.**“ Pismo to „przeznaczone dla stanu, dotąd niestety najmniéj liczącego czytelników, zjednywać ich

sobie będzie przez taniość, zrozumiałość, a stanowcze unikanie wszystkiego, co tworzy kwasy i jady społeczne, wychodząc z téj zasady, że czytelnikom swoim podawać należy pokarm pożywny — słowo bratniéj nauki i rady."

* * *

Sztuki piękne:

— **Wystawa starożytności i zabytków sztuki** otwartą zostanie w Krakowie dnia 1 grudnia. Komisję téj wystawy składają: profesor Łepkowski i książę Marceli Czartoryski jako przewodniczący, Piotr Umiński sekretarz, Juljusz Kossak, Władysław Łuszczkiewicz, Jan Matejko, Wincenty Pol, Jan Wężyk Rudzki, Stanisław hr. Tarnowski, Antoni Zaleski, członkowie.

* * *

— Jeden z malarzy naszych p. **Kruszyński**, którego kilka drobniejszych obrazków było różnemi czasami na lwowskiéj wystawie, wykończył teraz większą kompozycję. Jest to obraz przedstawiający młodzież kijowskiego uniwersytetu, czytającą Złotą hramotę skupionemu w około niéj ludowi ukraińskiemu. Rzecz z roku 1863.

* * *

— Rzeźbiarz **Zabiełło** wykonał we Florencji statuę poety rosyjskiego Puszkina.

* * *

— Popiersie Jana Kochanowskiego z Czarnolesia, wykute w marmurze dłutem profesora **Kossakowskiego**, zająć ma miejsce w kościele XX. Franciszkanów w Krakowie, naprzeciw stojącego tam popiersia Piotra Kochanowskiego, tłomacza „Jerozolimy wyzwolonéj."

* * *

— W pracowni **L. Kucharzewskiego** w Warszawie znajduje się model posążku Kopernika, oryginalnie przez artystę pomyślanego. Model ten posłuży do odlewów gipsowych, które stanowić będą pamiątkę czterechsetniéj rocznicy urodzin genjalnego astronoma naszego.

* * *

— P. **Leopold Steinman**, który bawi obecnie we Lwowie, wykonał medaljon znakomitego okulisty i niegdyś profesora wszechnicy krakowskiéj p. Sławikowskiego.

* * *

— P. **Lipiński**, rzeźbiarz ze Lwowa, wykonał piękny posąg, przedstawiający „Opuszczoną." Znawcy oddają wielkie pochwały téj pracy.

* * *

— Epidemję, komedję **Józefa Narzymskiego**, tłomaczą na język rosyjski, aby ją w Petersburgu przedstawić. Tłomaczą również na język rosyjski i niektóre komedje hr. **Fredry**, ojca.

* * *

— Tłomaczenie polskie p. **Józefa Tretiaka** znakomitéj tragedji „Demetrius", którą rozpoczął Szyller a dokończył Laube, już jest na ukończeniu i niezadługo przedstawioną będzie we Lwowie.

* * *

— P. **Stanisław Gargulski** napisał komedję dwuaktową p. t. „Zazdrość małżeńska."

* * *

— P. **Matuszyński**, reżyser opery warszawskiéj, przekłada obecnie na język polski tekst opery Verdiego p. t. „Giovanna di Guzman."

* * *

— Przetłomaczono dla teatru krakowskiego słynną komedję pp. Meilhac i Halévy „Tricoche i Cacolet", oraz i komedję **Benedixa** p. n. „Duch niepokoju."

* * *

— Nakładem księgarni Sennewalda w Warszawie wyszły dwie pieśni do śpiewu kompozycji **Władysława Zeleńskiego**: Mój kwiatek i Posełka.

— P. **Aleksander Zarzycki** w czasie pobytu swego za granicą, napisał uwerturę uroczystą na wielką orkiestrę.

* * *

Rozmaitości:

— **Pomnik Polski w Rapperswyl.** Pomnik międzynarodowy wystawiony w 1868 r. na pamiątkę stuletniéj walki narodu polskiego, przeniesiony został w tych dniach na obszerny dziedziniec zamku, w którym się Muzeum Narodowe znajduje. Wymagała tego wiekowa trwałość, wystawiony był bowiem na uszkodzenie, z powodu częstego wichru, który nieraz wykorzenia stuletnie lipy w blizkości będące. Dla większéj jeszcze trwałości, kolumna została z żelaza odlana i sprawia piękny effekt na podstawie ozdobnéj z ciemnego marmuru. Barwa bronzowa pomnika, stojącego na granitowych schodach, ma coś w sobie monumentalnego, harmonizującego ze wzniosłą myślą w nim wcieloną. Ozdoby gustownie złocone ożywiają całą budowę. Pomnik ma wysokości koło 29 stóp; na szczycie znajduje się orzeł biały w chwili, w któréj ulatuje, jest to symbol odrodzenia Polski. Architekt zostawił na kolumnie tymczasowie piękny model tego orła, który także będzie z lanego żelaza, aby doświadczyć trwałości posrebrzania. Wiadomo, że na jednéj z tafli marmurowych u dołu jest wykuty herb Polski, a na trzech innych są napisy wyryte ze złotemi literami. Sztachety złocone znajdują się w około pomnika, otoczonego plantacjami. Mury zamkowe mają być ozdobione kamiennemi taflami, na których będą się znajdować nazwiska sławnych mężów Polski, dzień ich urodzenia i śmierci. Pomnik stał się znakomitą ozdobą zamkowego dziedzińca.

* * *

— **Ludwik Léger**, znany publicysta francuzki, zwiedzający kraje sławiańskie dla obeznania się z ich zwyczajami, obyczajami i starożytnościami, bawił kilka dni w Warszawie. Pan Léger był niejaki czas adjunktem profesora języków sławiańskich w Collége de France, Aleksandra Chodźki, od którego téż wyuczył się po polsku. Przedstawia on jedyny przykład Francuza, który, nie wyjeżdżając po za granicę swego kraju, potrafił dostatecznie się obeznać ze wszystkiemi językami sławiańskiemi. Pan Léger udał się z Warszawy do Krakowa, Lwowa, a późniéj pojedzie do Kijowa. Po powrocie do Paryża zamierza skreślić opis swych podróży. P. Léger jest również wiernym przyjacielem Polaków, jak wszystkich innych szczepów sławiańskich. Dzisiejsza zaś polityka francuzka, któréj w tym kierunku jest wyobrazicielem, nakazuje mu przymilać się Rosji, jedynéj dzisiaj przedstawicielce siły sławiańskiéj.

Skrzynka do listów.

— Gazecie Toruńskiéj: Posyłamy wszystkie numera gdzie odpowiadaliśmy w Skrzynce na feletonowe napaści, stósowane do nas à propos des bottes. W przyszłości Tygodnika odbierać nie będziecie, niepodobna bowiem utrzymywać stosunków z pismem, które bez żadnéj kontroli drukuje byle jaki nadesłany artykuł, choćby w nim lekkomyślne sądy, nietakt i wzburzona żółć wołały w niebogłosy.

Waszemu „protestantowi" odpowiadać już nie będziemy, trudno bowiem rozprawiać z kimś, co nie przebiera w słowach, z kimś, co pisze pod widocznym wpływem nienawiści i chęci szkodzenia.

— Dra Kętrzyńskiego prosimy o podanie adresu.

— Autorowi artykułu „Obejść się, obyć się": Dziękujemy i prosimy o więcéj.

Odpowiedzialny redaktor i nakładca Edmund Callier. — Czcionkami drukarni Ludwika Merzbacha w Poznaniu.
W komisie M. Leitgebra i Sp. w Poznaniu.